

W jesienną noc



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

W jesienną noc

Drogą rozmięknłą, podobną do błotnistej, grząskiej rzeki, płynącej wśród pustych, czarnych pól, szedł pijany chłop.

Wieczór już był zapadł; zimny, rozdeszczony, brudny wieczór listopadowy.

Oślepy świat płakał nieustannym, przenikliwym deszczem, obdarte pola szkliły się nabrzmiałe wilgocią, rowy i bruzdy pełne były wody, a bezlistne drzewa pochylały się nad drogą bezwładnie i drżały z zimna i wilgoci.

Martwa cisza leżała na rozmiękłych polach.

Chłop szedł prędko, zataczał się potężnie, potykał, kłął, ale szedł; naraz przystanął i pijanym, ochrypłym głosem zaśpiewał:

Oj! dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina;
A jak cię śmierć ułapi...
Oj! poratunku nie ma!
Oj!

Ale śpiew nie rozległ się echem, rozmiękł w wilgotnym powietrzu i przepadł w ciemnościach; usłyszał go jednak jakiś cień ludzki, co się włókł o kilkadziesiąt kroków za nim, bo przystanął na mgnienie i trwożnie zsunął się na bok, w cień jeszcze głębszy drzew przydrożnych.

Chłop szedł znowu śpiesznie, ale o jakiś kamień czy korzeń drzewa potknął się i runął jak kłoc w błoto.

Długo nic nie było słychać prócz monotonnego, nieustannego plusku deszczu i drżącego, nerwowego szmeru drzew.

Aż ów cień przysunął się bliżej i pochylił nad pijakiem.

— Gospodarzu! Gospodarzu! — zaszemrał cichy głos.

Chłop ocknął się; próbował powstać, ale bezwładne nogi i ręce ślizgały mu się po błocie, nie mogąc znaleźć punktu oparcia, a że był nieprzytomny, nie myślał już i o powstaniu, tylko układał się jak najwygodniej i mruczał przez sen.

— Miękkko ci tu jest, ciepło ci tu jest, leż se, gospodarzu, leż...

— A wstańcie no, toć was tutaj woda zaleje...

— Psiachmać, kiej¹ cię gdryknę kijaszkiem, to obaczysz!... — krzyknął srogo.

— Gospodarzu!

— Nie budź, kobieto, mówię ci po dobremu!

— Spiliście się i jak ten wieprzak leżycie w błocie!...

— Pijanym! A mówiłem ci, Żydzie, daj okowitki², nie śprytu³, a mówiłem; obedrę ci, jucho, pejsy, obaczysz... Cicho bądź, kobieto... kiej gospodarz leży, to mu tak trzeba i tyła⁴, a tobie do tego nic, boś ino⁵ kobieta... cicho, kobieto... Leż se, gospodarzu... parobki za cię zrobią... bydłatka za cię zrobią... leż se, gospodarzu... odpoczywaj...

Ale kobieta nie dała mu odpoczywać w błocie, dotąd nim trzęsła, dotąd go podnosiła, aż oprzytomniał nieco i przy jej pomocy powstał.

¹kiej (gw.) — jak. [przypis edytorski]

²okowita — wódka; źródłosłów: *aqua vitae* (łac.), woda życia. [przypis edytorski]

³śpryt (gw.) — spirytus. [przypis edytorski]

⁴tyła (gw.) — tyle. [przypis edytorski]

⁵ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Marcycha! — szepnął, zajrzawszy jej w twarz — Marcycha! — powtórzył już bezwiednie, nacisnął czapkę na czoło i zataczając się potężnie, ruszył żwawo naprzód, jakby uciekał, i wkrótce nawet odgłos jego kroków rozwiął się w plusku deszczu.

Marcycha pozostała daleko za nim, szła wolno, bo drewniane trepy ślizgały się po błocie i nabierały ciągle wody, że co trochę musiała ją wylewać; szła ciężko, bo jej przemoczone szmaty utrudniały chód. Przyciskała do piersi zawinięte w chustkę dziecko, które popłakiwało z cicha, i zapatrzona w noc coraz to głębszą, wlokła się na pół zmartwiała i nieprzytomna.

— Jezu! mój Jezu miłosierny — wyrwało się jej z piersi i gryząca, straszna żałość wycisnęła z jej oczów⁶ strumień gorzkich łez.

Wypłakała już ona tych łez, wypłakała.

Wypłakiwała na ludzi, na świat, na dolę swoją nieszczęsną, na sieroctwo swoje. Sierota była bezdomna, sierota; szła w świat, jak te bure chmury, co się ciężko wlokły po niebie, jak ten wilgotny wiatr, co się podnosił z pól i przewiewał bez śladu, jak ta straszna noc listopadowa...

Ani zmiłowania znikąd, ani poratunku od kogo, ani pożalenia...

Wygnała ją dola i rzuciła na zatracenie, a ona za całą obronę łzy miała tylko i ból, i jęk, tak właśnie, jak kiedy psiaka ślepego oderwą od suki i porzucą w dół, a on od śmierci broni się żalonym skomleniem.

— O Jezu! Jezu! — jęczała chwilami.

Ta noc zaczęła ją przejmować trwogą, na próżno upatrywała światła jakich — nic nigdzie, ciemność niezgłębiona, wsie jakby wymarły, takie ciemne i ciche, nawet psy nie szcekały nigdzie, żaden wóz nie zaturkotał, żaden głos ludzki się nie rozległ — grobowa cisza, pełna monotonnego szmeru deszczu.

Dziecko zaczęło chlipać żałośnie.

— Cicho, robaku⁷... cicho... — przysiadła pod drzewem, wsadziła dziecku w usta chudą i pustą pierś i zasłuchiwała się w jakiś daleki, ledwie dosłyszalny szum, jakby wody spadającej. — Młyn! juści⁸, że to młyn! — szepnęła, nasłuchując jeszcze.

Jakaś nadzieja poderwała ją z miejsca, bo się podniosła i szła raźniej, zaczęła dygotać w oczekiwaniu i niepewności.

— Pietruś! Pietruś! — poruszyła ustami. — Nie wypędzi mnie przecie, nie, jakżeby! — myślała i z czułością nagle przycisnęła dziecko jeszcze silniej do piersi. — Pietruchna!

I z wolną jej zdziczałą od cierpień duszę ogarnęło głębokie rozczulenie; wstawały w niej wiosenne przypomnienia, wylały się zza łez niedoli jasne obrazy przeszłości, a w każdym główną osobą był on, Pietruchna!...

Dziecko przeziębnięte i głodne zaczęło znowu płakać.

— Cicho! ty... — zawarczała, podnosząc rękę do uderzenia. — Jakżeby? Przecież to jego — myślała z niepokojem i zaczęła namiętnie całować mokrą twarz dziecka.

Szum był wyraźny, bo już z niego wylał się głuchy turkot koła młyńskiego.

Deszcz wolniał⁹ nieco, wiatr się poruszał górą w gałęziach topoli, co jak szkielety stały z obu stron drogi, chwiały się ciężko i szemrały groźnie, a z lasu, co stał czarną, ponurą ścianą, zaraz za drogą, rozlegał się smutny, cichy głos, jakby jęk drzew w ciemnościach, jakby płacz dławiony przez noc i przez deszcz. Ogromne chmury, skłębione i pomieszane, zaczęły szybko lecieć po niskim niebie.

Strach jakiś przeleciał nad ziemią, strach mocny i zły, aż się zatrzęsła z przerażenia dusza Marcychy. Obrzuciła nieśmiałym spojrzeniem dokoła, nasunęła chustkę głębiej na czoło i z całych sił biegła ku tym coraz bliższym turkotom młyńca.

A wiatr się wzmaczał, gonił ją, to uderzał w plecy, aż się pochylała ku ziemi, to zabiegał drogę i rzucał w twarz wodę z kałuż, to strząsał na nią drobne gałązki, to tak świstał przeraźliwie koło uszów¹⁰, że przystanęła na chwilę, aby złapać nieco tchu.

Ale biegła dalej, bo się bała strasznie, bo te rzędy topoli tak się kołysały nad jej głową, tak coś szemrały do niej, tak czuła nad sobą ich pnie potężne, ich gałęzie strzępiaste, nagie,

⁶oczów — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

⁷robak — tu: małe dziecko. [przypis edytorski]

⁸juści (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie. [przypis edytorski]

⁹wolniać — łagodnieć. [przypis edytorski]

¹⁰uszów — dziś popr. forma D. lm: uszu. [przypis edytorski]

podobne do szponów, które wyciągały się do niej, chwyciły ją za ramiona, zdzierały jej chustkę z głowy, kaleczyły twarz — że leciała w przerażeniu.

Uspokoila się dopiero na grobli¹¹ prowadzącej do młyna.

Młyn stał tak nisko, że jego dachy były na poziomie grobli i stawów połyskujących po nuro w ciemnościach, gąszcz czarnych olch otaczał go dokoła; gąszcz nieprzebyty, w którym huczała i belkotała woda spadająca z kół.

Ogromny, czarny budynek trząsł się cały i turkotał.

Zsunęła się ostrożnie z grobli po spadzistej drodze i weszła do młynicy¹².

Przypadła zaraz za progiem na jakiś worek z mąką, by wytchnąć nieco.

Olbrzymia młynica była pograżona w tumanie bielma¹³ — oślepla... Wiszący u sufitu kaganek¹⁴ rozkręcał nieco czerwonego światła, w którym słabo się rysowały rzędy garnków i kontury maszyn.

Wszystko się trzęsło, dygotało, poruszało, owiane mączną kurzawą, goniło i pracowało; trzęsła się podłoga oślizgła, trzęsły się białe ściany; trząsł się pułap, od którego zwisały się omączone nici pajęczyn, trzęsły się długie, białe skrzynie — a poza nimi, w głębi szarej, poruszały się automatycznie olbrzymie, czarne koła, przez które z krzykiem przepływał gruby, zielonawy strumień wody i rozwichrzoną, spienioną głową spadał na dół, na ostre pale, aż fundamenta¹⁵ dygotały i ziemia jęczała.

Nic słychać nie było prócz hałaśliwej pracy kamieni młyńskich; czasem tylko z pierwszego piętra rozlegał się przeraźliwy, ostry dźwięk dzwonka, na którego głos wybiegano śpiesznie z izdebki młynarczyka, która stała w jednym kącie młynicy.

Marcycha przysunęła się do niej, usiadła za młynkiem do czyszczenia zboża i czekała cierpliwie.

Bała się wejść do środka, chociaż wyraźnie słyszała głos Pietrusia i głosy jakichś ludzi.

Opuściła ją odwaga, przywarła do cienkiej ściany i słuchała; co chwila ktoś wybiegał z izdebki, a za nim fala śmiechów, światła i ciepła biła na młynicę.

W izdebce małej i niskiej gorąco było jak w piecu; na dużym kominie tlił się torf niebieskim płomieniem.

Gromada chłopów siedziała dokoła ognia.

Zapach machorki¹⁶, torfu i ryb przypiekanych na węglach napelniał izbę.

Pietrusz leżał na łóżku na stosie kozuchów i kpił z pijanego chłopca, który na środku izby kołysał się sennie.

— Idźcie do domu, Mateuszu, bo was baba spierze jak nic...

— Spierze, mnie spierze? gospodarza? Nie... Pod pierzynę puści, wódki z tłustością da albo i czego lepszego...

— Do chliwa¹⁷ to was puści, kiejżeście się tak spili!

— Pijanym to! A mówiłem Żydowi — daj okowitki — i dała jucha¹⁸ śpijki... zedre za łeb, że niech ręka boska broni... zedre... Gospodarz kazał postawić okowitki — to słuchać, a nie, to za te pejsy¹⁹ żółte i do wody.

— Michał! z kosza schodzi — zawołał młynarczyk, usłyszawszy dzwonek.

Młody chłopak podniósł się od ognia i wybiegł, pozostawiwszy drzwi otworem.

Marcycha wsunęła się nimi i stanęła u progu.

— Niech będzie pochwalony... — szepnęła cicho.

Młynarczyk zerwał się z łóżka i krzyknął wściekły:

— Czego? Poszła won, ty... suko!

Dziewczyna zachwiała się, obrzuciła nieprzytomnym spojrzeniem chłopów, rzuciła dziecko na łóżko młynarczyka i uciekła.

¹¹grobla — wał ziemny utrzymujący wodę w sztucznych zbiornikach wodnych, takich jak stawy i kanały; grzbietem grobli często wiodły drogi. [przypis edytorski]

¹²młynica — budynek, w którym znajduje się urządzenie młyńskie. [przypis edytorski]

¹³bielmo — mączysty miąższ ziarna. [przypis edytorski]

¹⁴kaganek — tu: prymitywna lampka. [przypis edytorski]

¹⁵fundamenta — dziś popr. forma: fundamenty. [przypis edytorski]

¹⁶machorka — tytoń kiepskiej jakości. [przypis edytorski]

¹⁷chliw (gw.) — chlew. [przypis edytorski]

¹⁸jucha — tu: drań, szelma. [przypis edytorski]

¹⁹pejsy — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis edytorski]

— Podarunek dla was, Pietrze — szepnął złośliwie któryś.
 — Ładne skrzyпки! — dorzucił drugi, bo dziecko płakać zaczęło.
 — Kto na zwieszne²⁰ za czym bryka, od tego zimą umyka...
 — Weź no który robaka, bo się tam zadusi...
 — A juści, ssać mu dacie abo co!
 Ale któryś wziął i przysunął do ognia, oglądali je wszyscy.
 — Ze dwa miesiące ma robak, więcej nie...
 — Podobne do was, Pietrze, rychtyk²¹ nos kiej kartofel...
 — Cię... pomocnika se zrobicie z niego i tyła...
 — Abo do służby oddacie, zawsze grosz jaki kapnie...
 — Od każdego worka weźmiecie, Pietrze, z kwartę²² mąki więcej i chłopak się wyżywi, że cielakowi nie potra lepiej.
 — Tęgo²³ beczy, organistę możecie z niego zrobić, Pietrze, to i honor, i grosz niezły za wypominki²⁴ albo i pochówki²⁵.
 — Jedliście, Pietrze, miód, spróbujcie teraz wosczyn²⁶...
 — A i matka galanta, co to... trepy prawie nowe, ze sześć czeskich²⁷ wartują, kiecka, że i za półtora złotego nie kupisz, a gębę... to i w szaflik²⁸ zmieścić... frontowa kobita...
 — A umyć ino, a wyczesać, to w sam raz byłaby do palenia w piecach u Żydów.
 Drwili z niego niemilosiernie, a on siedział na łóżku i nie wiedział, co począc, dławiła go wściekłość, dławił go wstyd, a nie mógł się ruszyć, bo oczy jego przykuwała biała twarz dziecka, które chłopci rozpowili²⁹ i położyli na trzonie³⁰ komina, i ogrzewali, aż para buchała ze zmoczonych szmatek.
 Naraz skoczył na równe nogi i pobiegł do młynicy.
 Wkrótce też rozległy się krzyki dzikie i uderzenia.
 — O kochaniu se gadają — zauważył chłop któryś.
 — Któż to?
 — A Marcycha Jantkowa z Woli. Wygnały ją ze służby, wygnały ją z domu... gdzie miała iść?
 — Ho! Ho! Pietrek, to kat na dziewuchy...
 — I... kat... juźci, ale i hycel on też jest, i łajdak ostatni...
 — Cichoście no — zawołał któryś.
 — Pietruś! Pietruś! Adyć³¹ mnie nie bij! — błagała Marcycha, tarzając mu się u nóg.
 — Adyć to twoje... wygnały mnie ze służby... wygnały mnie z chałupy... gdzież pójdę sierota... gdzie? Pietruchna! O Jezus miłosierny, o Jezus! ludzie, ratujta, ludzie... Jezus Maria! — ryczała strasznym głosem, bo kopnął ją w piersi, że padła na podłogę ciężko, jakby kto worek mąki rzucił.
 Wnet przycichło wszystko, słychać było otwieranie drzwi na dwór, szamotanie się jakieś i potem już nic prócz turkotów młyńskich.
 — Zabije ją jeszcze...
 — Nic jej nie będzie, dzieciaka się pozbyła i tyła!
 — Suka, ostawiła dziecko i poszła...
 A że płakało coraz mocniej, któryś z chłopów znalazł kawałek cukru na stole młynarczyka, owinął go w szmatkę, zgniótł obcasem, umaczał w wodzie i wsadził dziecku w usta; ssało chciwie.
 A Mateusz, który drzemał na łóżku, ocknął się i rzekł:

Przemoc

²⁰zwieszna (gw.) — wiosna. [przypis edytorski]

²¹rychtyk (gw.) — akurat, właśnie, dokładnie. [przypis edytorski]

²²kwarta — daw. miara objętości, zwykle ok. 1 litra. [przypis edytorski]

²³tego — mocno, silnie. [przypis edytorski]

²⁴wypominki — modlitwy błagalne odmawiane za dusze zmarłych podczas mszy. [przypis edytorski]

²⁵pochówek (daw.) — pochówek, pogrzeb. [przypis edytorski]

²⁶wosczyny (gw.) — woszczyny, plastry pszczele pozbawione miodu, przeznaczone do wytopu wosku. [przypis edytorski]

²⁷czeskie (daw. pot.) — korony, waluta Austro-Węgier wprowadzona w r. 1892 w miejsce guldenów, zwanych złotymi reńskimi. [przypis edytorski]

²⁸szaflik — drewniana misa a. wiadro. [przypis edytorski]

²⁹rozpowić (daw.) — rozwinąć z powicia; powicie: to, w co owinięto niemowlę. [przypis edytorski]

³⁰trzon — górna część pieca kuchennego, na której było gotowane jedzenie. [przypis edytorski]

³¹adyć (gw.) — zaprawę, przecież. [przypis edytorski]

— Dzieciaka wezmę. Sierota ono, sierota!
— A weźcie, nie macie przecież swoich, że baba was spierze za to, to spierze...
— Spierze?... Nie spierze. Pojazdycze, pohandryczy³²... dobra kobieta... chodź, sieroto... do gospodarza pójdziesz... chodź, sieroto... — i z nagłym postanowieniem pijaka powstał, obciągnął obłożony kożuch, nacisnął mokrą baranicę na głowę i pochylił się nad dzieckiem. — Chodź, robaku, chodź... Matki nie masz, ojca nie masz, to już ja ci zrobię gospodarskie opiekuństwo. Chłopak, co?
— Jużci, że chłopak...
— Do pasionki³³ się przyda... parobka se będziesz miał, gospodarzu...
— Ino mu pierwej mamkę sprowadź albo krowę od cielęcia odstaw, żeby go podkar-miła.

Nie słuchał pokpiwań, okręcił dziecko w przeschnięte szmaty, owinął w połę kożucha i mocnym, dosyć równym krokiem ruszył z izdebki, i tylko trochę szukał wyjścia, ale na powietrzu od razu się zorientował i laź na groblę z trudem, bo wiatr, który się na dobre rozhułał, ciął go po twarzy i spychał po oślizgłej drodze.

Ale się wydostał do stawów, skręcił na lewo i ruszył do wsi.

Człapał po wodzie, bo wiatr wychlustywał wodę ze stawów, że się przelewała przez groblę i biła po nogach grubymi falami.

— Nie piskaj, robaku, nie... mleka dostaniesz, kołyskę ci splecę... dobrze ci u mnie będzie, sieroto, dobrze... i zasługi miał będziesz... i szmatki... i koziczek³⁴ ci kupię na jarmarku... za bydłatkem se chodził będziesz... albo i za gąskami... nie piskaj, robaku... — mrucał i troskliwie, jak tylko mógł, grabieżącymi z zimna rękami przytrzymywał połę kożucha.

Zamilkł, bo go czkawka dusiła i ostry, zimny wiatr wpychał mu słowa do gardła.

Za groblą droga szła przez torfowiska i bajory³⁵ okrutne; stare, obdarte brzozy chyliły się na drogę i krzyczały żałośnie, smagane przez wichurę. Błoto było po kolana. Deszcz już ustał zupełnie, tylko wiatr prześwistywał zimny i hulał po błotach.

Mateusz szedł coraz wolniej, z trudem wyciągał nogi z błota; tak go rozmarzyło, że spał prawie, był nieprzytomny... budziło go tylko zimno i wiatr czasami...

Wieś już była niedaleko.

Zataczał się mniej, ale że był senny, nie wiedział, gdzie idzie, szedł jak automat, czasem macał machinalnie kożuch... dziecko... nogi mu się plątały, zimno go przenikało do kości, bo rozwany na piersiach kożuch i przemoczony nie osłaniał od wiatru... puścił połę, zabił potężnie ręce o ramiona i pijanym, sennym głosem zaśpiewał:

Oj! dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina;
A jak cię śmierć ułapi,
Oj! poratunku nie ma!
Oj!

Odpowiedział mu z błota cichy, przerywany, dławiony krzyk dziecka — i jakies nie-dalekie... śpieszne kroki...

Nie słyszał nic i szedł sennie dalej.

³²handryczyć się (z niem.) — uparcie sprzeczać się z kimś o coś, wylewać swoje żale i pretensje o coś. [przypis edytorski]

³³pasionka (pot.) — pilnowanie pasącego się stada krów, owiec lub innych zwierząt. [przypis edytorski]

³⁴koziczek zdr. od kozik — składany nożyk. [przypis edytorski]

³⁵bajory — dziś popr. forma: bajora. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-jesienna-noc>

Tekst opracowany na podstawie:

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Piotr Grabiec, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0803-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.